NR. 2 NIEDZIELA 25, STYCZNIA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



Ptaszki w zimie

Znudziło się staruszce Zimie w jej lodowej grocie. Pilno jej było zagarnąć znów ziemię pod swe panowanie, ścisnąć ją w mroźnem objęciu, strącić ostatnie liście z drzew, pokryć lodową skorupą rzeki i stawy, wedrzeć się w szczeliny mieszkań ludzkich, zawyć złowrogo w kominie i hulać, hulać, prósząc wokoło biały puszysty śnieg.

Wyglądała więc raz po raz, patrząc czy rychło objąć będzie mogła władzę nad światem.

Aż zdarzyło się dnia pewnego, że słonko zatrzymało się w swej codziennej wędrówce i spóźniło się trochę.

Skorzystała z tego Zima i, wziąwszy do pomocy swych poddanych: mróz, śnieg i wiatr wyleciała z nimi ze swego państwa.

W zasypanych śniegiem wioskach zupełnie zamarło życie. Ludzie nie opuszczali prawie swych chat i spędzali czas przy ognisku. Nawet bydlątka po stajniach, oborach i chlewach znękane były przejmującem zimnem i cicho, żałośnie pomrukiwały, nie mogąc jeść przemarźniętego pożywienia.

Najgorzej jednak działo się ptaszkom, tym skrzydlatym śpiewakom, którzy nie sieją, nie orzą, a przecież zawsze znajdą jakieś pożywienie na ziemi.

Lecz teraz niestety ziemia otulona była zbyt grubą śnieżną pierzyną, by móc dać cośkolwiek z siebie skrzydlatej drużynie.

Więc ptaszyny głodne, zziębnięte i bezradne obsiadały okryte szronem nagie gałęzie drzew, tuliły się do siebie i smutnie ćwierkały, skarżąc się na swoją niedolę.

Znalazł się wreszcie ktoś, komu smutny los ptaszków bardzo leżał na sercu. Osobą tą była panna Janina, nauczycielka szkoły wiejskiej.

Barwnie i serdecznie przedstawiła swym uczniom położenie ptasząt, opowiedziała, jak w Szwecji ludność cała opiekuje się niemi, a w wigilję Bożego Narodzenia na dachu każdego domu wystawiony jest snop zboża, by biedne ptaszki też miały swoją gwiazdkę.

Wrażliwe na niedolę ptaków dzieci bardzo chętnie zajęły się zorganizowaniem pomocy dla nich. Wybudowano nawet małe domki - schroniska, porozwieszano je w różnych miejscach i codziennie zaopatrywano w świeże pożywienie.

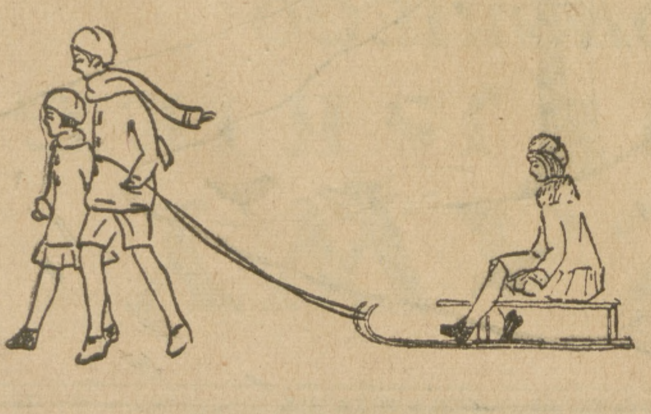
Opieka nad ptactwem, tak bardzo potrzebna i skuteczna, nikomu nie była ciężarem — żywiono je bowiem okruszynami i tak niewielką ilością pożywienia, że nawet najbiedniejszym nie przynosiło to uszczerbku.

I nie było więcej głodnych ptaszków w okolicy szkółki panny Janiny.

A gdy znów wiosna powróci i odrodzi się życie na ziemi, z jakim zapałem małe ptaszki zabiorą się do tępienia różnych szkodliwych pasorzytów na drzewach i krzakach, by choć trochę wywdzięczyć się ludziom za ich opiekę.

Jakby to dobrze było, by wszystkie dzieci pamiętały o ptaszkach i w miarę swej możności opiekowały się nimi podczas przykrych mrozów zimowych.

A. P. G.



Precz z wojną

Nie po to strajkiem szkolnym walczyły
Dzieci o mowę ojczystą,
Żeby na wojnach tracić swe siły
I patrzeć w przyszłość wciąż mglistą,
My, polskie dzieci, niesiemy zgodę
I pokój dla wszystkich ludzi.
Ponad poziomy mkną myśli młode,
Bratnie uczucie się budzi.
Więc dzieci świata złączcie się z nami

W serdecznych węzłów ogniwa!
Precz z wojną! Wojna sumienia plami,
Rodzinom serce wyrywa.
Precz z wojną! Bratnie połączmy dłonie,
Wola niech pokój roznieci —
Dzika nienawiść narodów spłonie
W ogniu złączonych serc dzieci!

M. O.

Z CYKLU „DZIECIŃSTWA WIELKICH LUDZI"

Métastasio

Pewnego poranka w miesiącu maju 1708 roku ze wspaniałego pałacu Gravina w Rzymie wyszedł starszy mężczyzna, ubrany w bogaty strój szlachcica włoskiego i szybkiemi krokami skierował się w stronę Forum, t. j. placu, gdzie zbierali się zwykle Rzymianie dla prowadzenia publicznych rozpraw politycznych.

Był to dzień świąteczny.

Pomimo tak wczesnej pory ulice zalegał barwny tłum, a setki malowniczych kostjumów różnych epok i różnych narodowości, z twarzami, zakrytemi maskami, lub ucharakteryzowanemi do niepoznania, snuły się wszędzie, tańcząc, skacząc i śpiewając.

Przechodzień, otaczany coraz to inną grupą rozbawionych masek, z trudem torował sobie drogę.

Nagle cisza zaległa wśród szalejącego tłumu, a czysty dziecięcy głosik podnosił się, rósł i dźwięczał, jak najcudowniejsza muzyka w wonnem, wiosennem powietrzu. Roześmiane, skaczące maski zatrzymały się, zasłuchane i jakby zaczarowane przedziwną harmonją dźwięków.

Zainteresowany przechodzień również zwolnił kroku. Rozejrzał się na prawo i na lewo, starając się rozpoznać, skąd pochodziły te melodyjne dźwięki; przedarł się przez żywy mur ludzki, który grupował się coraz liczniejszy. Wreszcie spostrzegł dziesięcioletniego może chłopczyka, stojącego na kamieniu przy bramie, który ze złożonemi na piersiach rączkami i wzniesionemi do nieba oczami, śpiewał pełnym głosem.

— Co to za dziecko i co ono robi? — zapytał starszy pan swego najbliższego sąsiada.

— Nie wiem, Ekscelencjo. Zauważyłem tylko, że od pewnego czasu codziennie rano śpiewa tu w takiej ekstazie, nie znam go i nigdy z nim nie rozmawiałem.

Odpowiedź ta nie zaspokoiła ciekawości pana i postanowił sam zasięgnąć bliższych informacji. Zbliżył się do malca i zapytał:

— Kto jesteś, chłopcze? Jak się nazywasz i kto nauczył cię tych zachwycają-

cych wierszy poety Tasse'a, które śpiewałeś przed chwilą?

— Jestem obywatelem rzymskim; ojciec mój nauczył mnie śpiewać tę pieśń.

— A czemu śpiewasz?

— Czemu — bo mi to sprawia przyjemność!

— W takim razie jesteś prawdziwym artystą i zasłużyłeś na nagrodę. Weź to, kupisz sobie cukierków i pomarańcz podczas dzisiejszej zabawy.

To mówiąc, starzec podał dziecku duży, złoty pieniądz.

Chłopiec odsunął dar gestem pełnym oburzenia:

— Dziękuję, Ekscelencjo, nie jestem żebrakiem, jałmużny nie potrzebuję, a śpiewam tylko dla siebie.

I podniósłszy dumnie głowę, zeskoczył ze swego piedestału i znikł w tłumie.

Zainteresowany coraz bardziej przechodzień, nie chciał dać za wygraną i postanowił pójść śladami chłopca. A nie było to rzeczą łatwą, gdyż mały artysta szedł szybko i raz po raz znikał z przed oczów starca.

Lecz starym panem owładnęło tak potężne pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o chłopcu, że zdawało mu się, że nagle odzyskał siły młodzieńcze i raźno szedł za śpiewakiem.

Szli tak jeden za drugim w odległości kilkunastu kroków, to przyśpieszając, to zwalniając szybkość, szli przez wąskie uliczki, szerokie bulwary, rozległe place...

Wtem chłopczyna zatrzymał się. Oparta o mur wysokiego domu, siedziała młoda kobieta, piastując na rękach maleńką, kilkomiesięczną dziecinę. Kobieta zawodziła głośno i błagała przechodniów o wsparcie.

Lecz strojny, rozbawiony tłum, w oczekiwaniu licznych rozrywek, które obiecywało dzisiejsze święto, nie słuchał ani skarg, ani próśb nieszczęśliwej i obojętnie snuł się dalej.

Chłopiec zdziwiony i zaciekawiony przyglądał się biednej kobiecie i jej maleństwu. Nagle sięgnął do kieszeni, wyjął zeń duży kawał chleba i rzekł, podając go żebrzącej:

— Żałuję bardzo, że nic więcej nie mogę ofiarować, ale niestety nie posiadam ani grosza. Niech więc pani przyjmie choć ten kawałek chleba.

Nieszczęśliwa chwyciła chleb i, jedząc go żarłocznie, odpowiedziała:

— Dziękuję ci, moje dziecko, dziękuję bardzo! Taka jestem głodna i bezradna! Niedawno umarł mój mąż i pozostawił mnie bez środków do życia. Jeden z jego bogatych krewniaków obiecał zająć się mną i mem dzieckiem, niestety mieszka on w Neapolu, a ja nie mam pieniędzy na odbycie tej podróży. Poszłabym pieszo, czuję się jednak tak słabą i wyczerpaną, że mogłabym paść gdzie po drodze, a co wtedy stałoby się z mojem maleństwem.

Milczący i zasmucony chłopiec zamyślił się głęboko. Jakaś walka wewnętrzna musiała toczyć się w jego małem serduszku, gdyż głęboka brózda zarysowała się na czole pomiędzy czarnemi brwiami.

Nagle potrząsnął głową, zdecydowanym ruchem zdjął z głowy duży filcowy kapelusz, położył go na kolanach kobiety, oparł się o sąsiedni mur i zaczął śpiewać.

I znów, jakby zatrzymany jakąś wyższą siłą, tłum zgromadził się wokoło młodego artysty. Lecz chłopczyna zdawał się nie widzieć tego. Z ust jego płynęły zachwycające, nieporównane i nadzwyczaj harmonijne poezje. Rozentuzjazmowana publiczność gorąco oklaskiwała każdą nową strofkę.

Nieczuły na te dowody uznania, chłopiec śpiewał dalej... nieznane, cudowne poematy rozbrzmiewały w powietrzu, wyciskając łzy w oczów obecnych...

Metalowy deszcz drobnych miedziaków, srebrnych monet, a nawet złotych pieniążków padał do kapelusza, a mały artysta wciąż śpiewał.

Wreszcie, uważając, że kwesta dość przyniosła, malec zamilkł, wysypał zawartość kapelusza na kolana kobiety i rzekł:

— Myślę, że te pieniądze wystarczą pani na podróż do Neapolu... i, nie czekając na podziękowanie, włożył kapelusz na głowę i zmięszał się z tłumem.

Stary pan, który ani na chwilę nie spuszczał go z oka, dopędził go, ujął za ramię i przyciągnął do siebie.

— Nie puszczę cię, dokąd nie powiesz mi, jak się nazywasz i kto jest autorem tych pięknych pieśni, które śpiewałeś przed chwilą.

— Ja chcę przejść, proszę mnie puścić!

— Mów, a będziesz wolny!

— Nic się pan odemnie nie dowie.

— Czemu jesteś taki uparty? Czemu odmawiasz mi tej grzeczności? Powiedz, jak się nazywasz?

— Błagam, niech mi pan pozwoli odejść.

— A kto napisał te wiersze?

— ......

— Mów, czemu się wahasz?

— Jeżeli już tak koniecznie chce pan wiedzieć moje nazwisko, więc powiem je panu — zawołał chłopczyna.

— Nazywam się Piotr Bonawentura Trapasse! Ojciec mój jest szewcem, lecz przedtem był żołnierzem i powrócił z ostatniej wojny chory i znękany.

— Więc jesteś synem mego sąsiada?

— Tak, panie i dlatego właśnie uciekałem przed panem. Ojciec mój zabrania mi śpiewać na ulicach i ukarałby mnie surowo, gdyby się dowiedział, że „dawałem koncert".

— Lękasz się, chłopcze, bym cię nie wydał?

Piotr w milczeniu opuścił głowę.

— Bądź spokojny, żadna przykrość nie spotka cię z mego powodu. Powiedz mi jeszcze, kto ułożył te wiersze, które śpiewałeś przed chwilą?

— Ja sam, panie! Czasem udaje mi się ułożyć jakiś wiersz, ale niestety nie umiem pisać, więc szybko je zapominam.

— Oh, dziecko, jak niezwykłą twórczą masz duszę!

— Ale pan nic nie powie mojemu ojcu? Niech mi pan przyrzeknie, że nikt w domu nie dowie się o moim koncercie.

— Nie lękaj się, malutki, nie zaskarżę cię, lecz zajmę się tobą i uczyć cię każę.

— Oh, panie!

— Prócz niezwykłego talentu masz dobre, litościwe serce i jestem pewien, że okazana ci pomoc nie pójdzie na marne. Na pamiątkę zaś dzisiejszego naszego spotkania wszystkie twoje utwory podpisywać będziesz imieniem „**Metastasio**", co znaczy po grecku „Ten, który chce przejść".

. . . .

Nazwisko to stało się sławne, pomiędzy najsławniejszemi. Métastasio stworzył poezje, które przeszły do nieśmiertelności. Imię jego przetrwa wieki czczone, okryte chwałą, równe największym genjuszom literatury i stanowić będzie wieczną chlubę narodu włoskiego.

Br. P.



Przydrożna chątka

Daleko za miastem, tuż w pobliżu lasu
Stała mała chatka od dawnego czasu —
W chatce staruszeczek — modli się dzień cały.
I staruszka siwa, mała i zgarbiona
Krząta się po chatce — wierna jego żona.
Gdy zimą śnieżyca szalała na dworze,
Wiatr jęczał i płakał w gęstym ciemnym borze.
W mróz i w wichurę — podczas ciemnej nocy —
Zbłąkany przechodzień tu szukał pomocy.
Otworzono chatkę, wpuszczono przechodnia.

Ułożono do snu—spał mocno aż do dnia—
Staruszka przechodniowi swe łóżko oddała,
Sama na podłodze w kąciku drzemała.
Zrana ugościła kartofelkiem z wodą.
Słowa z serc płynące były mu osłodą.
Bieda panowała u staruszków wielka —
Ani kaszy, soli, ni mąki, węgielka.
Ani świeczki nawet w ciemną noc nie było.
Tak się staruszkom bardzo ciężko żyło.
Więc staruszka biedna mocno się kłopocze
Łzami wciąż zalewa swoje stare oczy.
A nakarmić przecież chorego potrzeba,
Może więc pożyczy u sąsiada chleba.
Mróz na dworze wielki, śnieg i zawierucha,
Jednak idzie w drogę, z zimna w ręce chucha.

Śnieg po pas się ściele, ledwie wlecze nogi.
Ledwie uszła mały kawałeczek drogi.
Przystanęła nagle—przestraszona srodza—
To błyszczące oczy patrzą nań po drodze,
Na bielutkim śniegu żarzą się jaskrawie
Jak węgielki złote, jak złociste pawie.
W oczach jej się mieni — nagła błyskawica
Znów okrągłe oczy blask silny oświeca.
Zmówiła modlitwę i się przeżegnała —
Po pas w śniegu stoi zgarbiona i mała.
Otworzyła oczy i nagle spostrzega
To złote monety tuż leżą u brzega.
Już nie poszła stara po chleb do sąsiada —
Wszak złote monety już sama posiada.
I po dziś dzień jeszcze od onego czasu
Kto biedny — ciągnie do chatki u lasu.

Helena Dawidow.

POJEDNANIE

(Ciąg dalszy).

P. Hański podnosi głowę i wzrok jego spotyka się z szeroko otwartemi oczami uczni.

Nauczyciel czyta w nich taką bezgraniczną trwogę, taki niepokój oczekiwania, jakby dusze chłopców skupiły się w ich oczach i zawisły mu na ustach.

Zwraca się do dyrektora i głosem spokojnym, zupełnie opanowanym mówi:

— Panie dyrektorze, dziś chłopcy nie są winni, to raczej ja zawiniłem, gdyż pozwoliłem sobie zadawanemi pytaniami wywołać tak ożywioną rozmowę.

Dyrektor niedowierzająco patrzy na nauczyciela, potem na uczni i bez słowa wychodzi.

Chłopcy stoją nieruchomo w tej samej postawie, w jakiej zostawił ich dyrektor.

P. Hański siada na krześle, machinalnie otwiera książkę, przewraca kartki, obciera kropelki potu na skroniach i czole.

Dobroczynny tym razem dzwonek przerywa wykład.

Zaledwie p. Hański przekroczył próg klasy, podnosi się fala głosów:

— Podli, podli jesteście — szlocha Julek — to święty człowiek, a jak wy go traktujecie!

— Bóg was skarze na równej drodze za te wszystkie awantury — twierdzi z przekonaniem Janek Rysiak, kandydat do stanu duchownego.

— Co robić? Jak naprawić zło, które się stało? — wołają inni.

Rybicki i Falski milczą, tylko płonące policzki i błyszczące oczy dowodzą o ich podnieceniu...

. . . .

Tego samego dnia koło piątej po południu kilkunastu uczni czwartej klasy zapukało do zamkniętych wrót szkolnych.

Woźny otworzył drzwi i ostro zapytał:

— A czego to panowie chcą o tej porze?

— Józefie, mój złociutki, mój kochany — proszą chłopcy — niech nas Józef zaraz zamelduje panu dyrektorowi.

— Dobrze, już dobrze, tylko nie wszyscy chyba pójdą do p. dyrektora, to niech reszta poczeka w bramie; tyle brudu i błota teraz na świecie, że potem zębami trzeba wygryzać podłogę.

Akurat skończyłem sprzątanie — mruczy stary sługa.

Rybicki, Falski i jeszcze dwuch kolegów wchodzą do garderoby i zdejmują okrycia; reszta posłusznie zostaje w bramie.

Nareszcie daje się słyszeć gderliwy głos Józefa:

— Proszę ze mną, pan dyrektor czeka.

Rozmowa była tak długa, że oczekującym na dole zmarzły nogi od stania bez ruchu na jednem iejscu; musiała jednak zakończyć się pomyślnie, gdyż twarze wychodzących z Watykanu promieniały takiem zadowoleniem i spokojem jakie uczuwa rozgrzeszony grzesznik, odchodząc od konfesjonału.

Chłopcy gromadkami rozeszli się do domów, szepcząc poufnie o wrażeniach dnia.

Wieczór wydaje im się nieskończenie długi, nie mogą opanować rozpierzchłych myśli i zmusić się do przygotowania lekcji na dzień następny. Gdy sen wreszcie skleił im powieki, podniecona wyobraźnia pracuje dalej, stwarzając różne obrazy:

Czesiek Falski śni, że wygrał główny los na loterji i bezimiennie posłał p. Hańskiemu cały tuzin wspaniałych tużurków. Uczuciowy Jurek widzi się wraz z panem Hańskim na olbrzymim wozie kwiatów, któremi potem przystrajają leżące obok siebie groby swych zmarłych matek.

Lutek Rybicki rzuca się na posłaniu, zakrywa oczy kołdrą i boleśnie jęczy przez sen, gdyż zdaje mu się, że jest w klasie, że wszyscy uczniowie strasznie hałasują, że p. Hański stoi na katedrze i nagle za jego plecami, jak to Lutek widział w kinie, wy-

łania się biały mglisty obłok, przybierający postać siwej staruszki o trupim wyrazie i zamkniętych oczach. Potem tuż koło głowy nauczyciela wyrasta sucha, starcza ręka, której wskazujący palec grozi swawolnikom.

Świt wreszcie rozwiał senne mary i czwartoklasiści wcześniej niż zazwyczaj zgromadzili się w klasie i zajęli swe miejsca.

Dnia tego wykład Historji Polskiej rozpoczynał szereg lekcji.

Po dzwonku p. Hański wszedł do klasy. Chłopcy porwali się z miejsc i pozostali w pozie stojącej. Nauczyciel, podejrzewając nowy figiel z niechęcią podszedł do katedry. Na twarzy jego malował się smutek i przykry przymus.

W tem po milczących szeregach stojących chłopców przebiegł lekki szmer.

To Falski wyszedł z ławki i zbliżył się do katedry. Chłopcy wstrzymali oddech.

Falski opuścił nisko hardą zwykle głowę, wciągnął w płuca zapas powietrza i, patrząc w ziemię, zaczął:

— Panie profesorze, my bardzo żałujemy naszego postępowania, przyrzekamy poprawić się, tylko niech nam pan przebaczy i nie gniewa się na nas...

Ostatnie słowo przechodzi w łkanie, które długo tłumione, wydobywa się z gardła cichym jękiem.

P. Hański pochodzi do niego, ściska mu mocno rękę i mówi łagodnie:

— Ja się nigdy na Was nie gniewałem. A teraz idź, chłopcze, na miejsce!

Czesiek odwraca się i podąża ku ławce, nagle p. Hański zatrzymuje go w połowie drogi, podnosi jego zwieszoną na piersi głowę i całuje w zapłakane policzki.

Potem szybkim krokiem powraca na katedrę, przesyła wszystkim jasny, serdeczny uśmiech, jakiego chłopcy nigdy jeszcze nie widzieli na jego twarzy, otwiera książkę i głosem zdradzającym wzruszenie zaczyna wykład, stanowiący wstęp do nowej epoki Dziejów Ojczystych.

KONIEC

